

Zaleca się *kolejnego* kota

SHŌ ISHIDA

Z JAPOŃSKIEGO
PRZEŁOŻYŁ
DARIUSZ LATOŚ

MARGINESY

猫を処方いたします。2

Neko Wo Shoho Itashimasu. 2

COPYRIGHT © 2023 BY Syou Ishida
c/o The Appleseed Agency Ltd, Japan

First published in Japan in 2023 by PHP Institute, Inc.
Polish translation rights arranged with PHP Institute, Inc. through
Emily Books Agency LTD. and Book/lab Literary Agency

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dariusz Latoś
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2025

ROZDZIAŁ

I

Nagle zdała sobie sprawę, że ma pod butami wilgotny asfalt.

Moe Ōtani rozejrzała się dookoła. Sama nie wiedziała, kiedy zawędrowała do jakiejś ciemnej uliczki. Jeszcze przed chwilą szła zatłoczoną i głośnie Kawaramachi, jedną z głównych, jeśli nie najważniejszą, aleją handlową Kioto – zawsze pełną turystów i młodzieży, na której od południa do wieczora tłum wzbierał coraz bardziej. Po zajęciach na uczelni Moe zwykle płynęła tamtędy wraz z nurtem przechodniów, idąc z koleżankami na kawę albo zakupy. Dziś jednak była sama.

Przypomniała sobie: chciała uciec od tłoku, dlatego szła na zachód Takoyakushi, mniejszą ulicą. Tylko że nagle znalazła się nie wiadomo gdzie. Zaułek był wąski, nie poznawała ani starych budynków, które wznosiły się po obu stronach, ani tego stojącego przed nią. Wejście do niego pozostawiono otwarte, widziała ciągnący się w głąb korytarz.

– Gdzie ja jestem? – szepnęła, stojąc w pustej ślepej uliczce.

Rozkojarzenie rozkojarzeniem, ale teraz to już przesadziła. Nic dziwnego, że czasem słyszała, jak to nie można na niej polegać. Pierwszy raz zdarzyło się jednak, by zmartwienia pochłonęły ją tak bardzo, że aż zgubiła drogę. Westchnęła głęboko i przeciągle, czując się po prostu żałosna.

Może powinnam pójść gdzieś dla zabicia czasu, byle uniknąć spotkania z nim? Odwiedzić znajomą, ponarzekać, powygłupiać się, zachowywać jak gdyby nigdy nic? Jeśli zadzwoni, wystarczy nie odbierać. Właśnie. Wystarczy udawać, że niczego nie zauważyła.

Czy w ten sposób odsunie w czasie koniec ich związku?

Może nie usłyszysz „żegnaj” bezpośrednio, tylko zobaczy je na ekranie smartfona. Czy wtedy rana będzie płytsza?

Miała przed oczami ciemny budynek. Najlepiej, gdyby wszystko odmieniło się tu i teraz, kiedy tak stała bez celu w ponurej, zawilgoconej uliczce. Czy ktoś nie mógłby nagle zstąpić z nieba i machnięciem czarodziejskiej różdżki uchronić ją przed rozstaniem? Zgodziłaby się na wszystko. Chciała tylko uniknąć tego, co nieprzyjemne. Odwrócić wzrok.

Bezsensowne granie na czas potęguje smutek. Nie cieszyła się nawet, że go zobaczy, choć ostatnio rzadko się widywali. Przeciwnie – wołałaby wręcz, by nie przychodził. Pociągnęła nosem i ruszyła z powrotem, odwracając się plecami do budynku u końca zaułka. Wtedy usłyszała czyjś głos.

– Poczekaj!

Zerknęła za siebie – nikogo. Ale wciąż słyszała wołanie. Dochodziło z oddali, z wysoka.

Moe powoli uniosła wzrok. Stary i odrapany budynek wznosił się ku zamglonemu niebu. W najwyższym rzędzie jedno otwarte okno. Trzecie, może czwarte piętro. Całkiem wysoko. Ku jej zdziwieniu ktoś patrzył na nią właśnie stamtąd.

– Tutaj! Tutaj!

Pod światło nie widziała dokładnie, ale raczej wołał do niej mężczyzna. Ubrany na biało, z dość wysokim, lekko nosowym głosem.

Otworzyła usta ze zdziwienia. Wychylił się za okno od pasa w górę, Moe wstrzymała oddech.

– Oszalał pan?!

– Skądże znowu! Chyba że z radości!

Nie widziała jego twarzy, ale na pewno widniał na niej uśmiech. Musiał zwracać się do niej – w zaułku nie było nikogo innego. Mówił dalej z wysoka w melodyjnym kiotyjskim dialekcie.

– Skoro już pani zaszła aż tutaj, to proszę wejść na górę, śmiało. Ostatnie piętro, drugie drzwi od końca. Zapraszam, proszę się nie krępować.

– Ale ja wcale się nie krępuję, tylko...

– W takim razie może ja zeskoczę do pani? Nie jest tu chyba aż tak wysoko, żebym przy odrobinie szczęścia nie dał rady... A może jednak? Nie no, powinno się udać. Spróbować nie zaszkodzi.

– Proszę zaczekać! Już idę!

Moe w panice wbiegła do stojącego przed nią wąskiego budynku. Popędziła schodami na złamanie karku, dotarła na najwyższe piętro i zaczęła pukać do drugich drzwi od końca. Były równie stare co reszta piętra, metalowe, gdzieśgdyś odchodziła z nich farba; wyglądały na ciężkie. Pukała i pukała, jednak nie było żadnej odpowiedzi. Nabrała podejrzeń, była trochę przestraszona – ale ten jego niepoważny, trochę głupkowaty ton, ten miękki kiotyjski dialekt, który brzmiał, jakby mężczyzna od pierwszego słowa otwierał przed nią serce...

„On mnie wzywał”.

Moe chwyciła za klamkę. Poczuli opór, ale naparła z całej siły i nacisnęła do końca. Drzwi nie bez powodu wyglądały na ciężkie – musiała pociągnąć je obiema rękami.

Udało się. Wnętrze nie przypominało reszty budynku, było jasne i czyste, tuż za wejściem stało małe okienko rejestracji. „Przychodnia?”, pomyślała, wyciągając szyję, by zajrzeć głębiej. Stała tam jednoosobowa sofa, ale nikt na niej nie siedział.

– Przepraszam?

Cisza.

Co z tym mężczyzną z okna? Moe odezwała się jeszcze raz. Wciąż żadnej odpowiedzi.

Chyba nie wyskoczył? Z bijącym sercem nasłuchiwała syren karetki albo krzyków przed budynkiem, ale nie, panowała zupełna cisza.

Już miała wychodzić, kiedy rozległ się kobiecy głos.

– Doktorze Nike, co to ma znaczyć?

Dochodził z głębi przychodni i ewidentnie słyszać w nim było złość. Czyli znajdowało się tam jeszcze jedno pomieszczenie. Moe po cichu ruszyła w tamtym kierunku. Przez uchylone drzwi dojrzała stojącą tyłem pielęgniarzkę. Patrzyła na kogoś z góry, trzymając się pod boki.

– Żeby z okna ludzi naganiać, no nie do wiary. Nudzi się panu? To z nudów, tak?

– Oj, niech się pani tak nie denerwuje. – Drugi głos należał do mężczyzny, którego słyszała przed chwilą. – Przyszła aż pod sam budynek, ale już chciała zawrócić, to co miałem zrobić? Chwilkę mogę dziewczynie poświęcić, przecież nie zaszkodzi jej wysłuchać.

– Właśnie że może zaszkodzić. Cały czas czekamy na umówionego pacjenta, a pan ciągle przyjmuje kogoś poza kolejną...

– No bo czekamy i czekamy, a on nie przychodzi... To i nie mam nic lepszego do roboty...

– Czyli miałam rację, panu się po prostu nudzi.

Moe lekko przesunęła głowę. Teraz zobaczyła przez szparę ubranego w biały kitel mężczyznę około trzydziestki. Minę miał zakłopotaną, ale wyglądał na łagodnego i życzliwego. Podniósł głowę, ich spojrzenia się spotkały.

– O, proszę do środka, proszę!

Uśmiechnął się z ulgą, zupełnie jakby zobaczył w niej ratunek. Pielęgniarka się odwróciła i też spojrzała Moe w oczy. Była to piękna kobieta o jasnej cerze i przenikliwym spojrzeniu. Chyba nieco starsza od niej, wyglądała na mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Zmarszczone brwi nie sprawiały zachęcającego wrażenia.

– Ja...

– Zapraszam do środka. Proszę usiąść – przemówił doktor pogodnie.

Pielęgniarka wymaszerowała z kamienną twarzą, zanim Moe weszła do środka i usiadła. Pomieszczenie kryło prosty gabinet: krzesła, biurko i komputer. Ale co to mogła być za przychodnia? Nie widziała żadnego wyposażenia medycznego.

– Hahaha! – lekarz roześmiał się wesoło, widząc, jak Moe ze zdziwieniem rozgląda się wokół siebie. – Proszę się nią nie przejmować. Pani Chitose ma cięty język, ale dobre serce. Witam w poradni Kokoro. Jak pani widzi, w pocie czoła prowadzimy ją sami, we dwoje, i tak naprawdę nie przyjmujemy

nowych pacjentów, ale dla pani zrobię wyjątek. Bo przyszła pani specjalnie aż tutaj.

„Kokoro”?

Słowo to oznaczało między innymi „serce” i „umysł”, dlatego często używano go w nazwach gabinetów psychologicznych. Moe była zdezorientowana.

– Ale ja nie mam aż takich zmartwień, żeby potrzebować pomocy specjalisty.

– Hahaha! – znów się roześmiał. – Ale jednak z jakiegoś powodu tu pani jest, prawda? – zapytał, nic sobie nie robiąc z wytrzeszczonych ze zdziwienia oczu Moe.

– Nie przyszłam tu z własnej inicjatywy. Raczej z ciekawości, bo mnie pan zawołał.

– Wiele osób nie przychodzi, nawet jeśli ich zawołam. Albo dociera przed drzwi, ale nie wchodzi do środka. Pani przyszła, bo chciała. Na własnych nogach weszła pani po schodach, własnoręcznie otworzyła pani drzwi. Gdyby naprawdę pani nie chciała, nogi same by pani nie poniosły, ręka sama nie sięgnęłaby do klamki. A więc...

Obrócił się do biurka i zastukał w klawiaturę. Przeszedł do prawdziwej wizyty, zanim Moe zdążyła przygotować się psychicznie. Pierwszy raz była u lekarza tego typu, z bezpłatnej pomocy psychologicznej na uczelni też nie korzystała. Nigdy nawet nie pomyślała, że chciałaby opowiedzieć komuś o swoich zmartwieniach.

– Poproszę imię, nazwisko i wiek.

Siedzący przed nią lekarz był młody, miał nietypowo luźne podejście, a do tego zachęcał ją, mówiąc kojąco melodyjnym dialektem prawdziwego kiotyjczyka. Przy nim nie czuła dystansu.

– Moe Ōtani, niedługo kończę dwadzieścia lat.

– Co pani dolega?

– Dolega?

„Wyglądam, jakby coś mi było? Jakbym miała problemy ze sobą?”

Owszem, w drodze tutaj zadreęczały ją różne myśli, ale to wszystko drobnostki. Miałyby zwracać się z nimi do lekarza? Gruba przesada.

Po prostu było jej trochę ciężko. Ten ból w końcu powinien jednak zniknąć, wystarczy schować go głęboko w sercu. Nic na tyle poważnego, by mówić o tym na głos.

Już miała powiedzieć, że wszystko u niej w porządku – ale wtedy popatrzyła doktorowi w oczy. Nie przyglądał jej się badawczo, raczej tak, jakby oczekiwał, że opowie mu coś ciekawego.

Dziwne miał to spojrzenie. Równocześnie obojętne i pełne zaangażowania.

– Nie chcę, żeby chłopak mnie rzucił – wyszeptwała.

– Rozumiem. – Lekarz pokiwał głową z lekkim uśmiechem. – Już wypisuję receptę. Pani Chitose, pani przyniesie kota! – zawołał przez ramię.

Zza kotary z tyłu gabinetu wyszła ta sama pielęgniarka co wcześniej. Nadal marszczyła brwi z niezadowoleniem.

– Doktorze, jego trzeba monitorować.

– A, racja, racja. Dziękuję, pani zawsze o wszystkim pamięta. Słowo daję, bez pani ta poradnia ległaby w gruzach.

– Tak pan tylko mówi.

Było widać, że wcale nie jest aż taka niezadowolona. Na biurku postawiła transporter, który przyniosła, i z powrotem zniknęła za zasłonką.

Co miała znaczyć ta ich wymiana?

Moe siedziała zbaraniała, tymczasem lekarz odwrócił plastikowy pojemnik. Z jednej strony zamiast ścianki miał kratkę.

Za nią siedział zwierzak.

– Chwileczkę, to kot?

– Owszem, kot – stwierdził lekarz z dumą w głosie.

Moe zajrzała do transportera. Czarne prążki na brązowym futrze, sterczące sztywno duże, trójkątne uszy, pyszczek zdecydowany i skupiony.

Niby zwykły kot, ale jaki dostojny. Wspaniały.

– Jaki piękny...

– Tak pani sądzi? Wypuścić go na moment?

Doktor otworzył drzwiczki. Kot wyszedł ze środka ruchem płynnym niczym fala dobijająca do brzegu. Nie był duży. Na widok wzoru na jego sierści Moe aż przyłożyła dłonie do policzków.

– Jakie śliczne cętki!

– Ten sam deseń, który tak kochają panie z całego Kansai. Zdaniem wielu wyglądają w nim krzykliwie albo i tandetnie, ale na kocie efekt jest piękny. Niesamowite, prawda? Ten tutaj to jeszcze maluch. Urośnie sporo większy, więc podobieństwo do tutejszych dam w średnim wieku też się nasili. Przepiszę go pani na... Hm? Co mówisz?

Cętkowany czworonóg siedział nieruchomo niczym kształtna porcelanowa figurka. Wpatrywał się w lekarza szeroko otwartymi oczami. Ten nachylił się i potarł nosem o jego nos.

– Nie chodzi o kobiety z Kansai, tylko konkretnie z Osa-ki? Masz rację, nie wolno wrzucać całego regionu do jednego worka. Wybacz. Mój błąd.

Uśmiechnął się promiennie, a kot sam z siebie wrócił do transportera. Zupełnie jakby ze sobą porozmawiali.

– Zatem proszę przez tydzień zażywać tego kota we wózek niczym dojrzała dama z Osaki. Wypiszę receptę, proszę odebrać potrzebne rzeczy w rejestracji. – Podał jej małą karteczkę. – A, i jeszcze jedno.

Dostała też zeszyt. Zwykły, do notowania przepisanych leków, wydawano takie w aptekach. Moe miała podobny w domu.

Spojrzała na okładkę i zmarszczyła brwi. Ktoś przekreślił podwójną linią widniejący tam napis KSIĄŻECZKA LEKÓW i nakreślił obok KSIĄŻECZKA KOTA. Wyglądało to jak dziecięcy psikus.

– Proszę tu codziennie zapisywać, co zjadł i co z niego wyszło.

– Co zjadł i... co wyszło?

– Tak. Jak coś wchodzi z jednej strony, trzeba wypuścić z drugiej, to taki podstawowy mechanizm. Ważne, by notować też gdzie i jak. Proszę pilnować, by cała operacja załadunkowo-wyładunkowa przebiegała sprawnie i przyjemnie.

– Chwileczkę. Pan chyba nie chce powiedzieć, że mam wziąć tego kota do domu?

– Właśnie tak.

Lekarz potwierdził z taką nonszalancją, że Moe aż onie miała. Przecież przyjąć zwierzę pod opiekę to nie byle co. Zdecydowanie pokręciła głową.

– Wykluczone. Nie mogę się zgodzić.

– Haha! Naprawdę nie musi się pani tak krępować.

– Ale ja się nie krępuję, tylko nie wiem, czy poradzę sobie z kotem...

Zwiesiła głowę z rezygnacją, lecz lekarza wcale to nie obezszało. Na siłę wcisnął jej w ręce transporter z cętkowanym czworonogiem.

– Proszę. Teraz damy z Osaki przyjmą panią z otwartymi ramionami. Znakomicie, prawda?

Wcale nie. I to pod wieloma względami. Byli w Kioto, nie w Osace, a ona ani trochę nie lubiła ubrań w panterkę. Tylko że mogła sobie mówić – doktor i tak reagował tylko śmiechem. Moe wyszła z gabinetu oszołomiona, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. W poczekalni nikogo nie było, stała tam tylko pusta sofa.

– Zapraszam tutaj. – Ta sama pielęgniarka co poprzednio wzywała ją, machając białą dłonią z okienka rejestracji. – Proszę receptę.

Z pozoru zupełnie jak w zwyczajnej przychodni – z tą różnicą, że gdzie indziej lekarze nie naganiali pacjentów z okien i nie dawali im kotów. Moe podała kobiecie karteczkę, w zamian dostała ciężką papierową torbę.

– To niezbędne wyposażenie. Ma tam pani też instrukcję, proszę ją uważnie przeczytać.

W środku były miski, płytki plastikowy pojemnik i kilka rodzajów saszetek. Moe wyjęła kartkę z instrukcją.

„Imię: Kotetsu. Samiec, wiek: cztery miesiące. Rasa: kot bengalski. Karmić rano i wieczorem stosowną ilością karmy. Zapewnić stały dostęp do wody. Kuwetę czyścić wedle potrzeby. Oddaje mocz średnio od dwóch do czterech razy dziennie, wydalą od jednego do dwóch razy. Sprawdzac ko-

lor, zapach, kształt i ilość. Zapewnić bezstresowe warunki na czas toalety – także po to, by uniknąć chorób układu moczowego”.

Przeczytała do końca. Potem od początku. I znowu.

Lekarz wspominał, żeby zapisywać „co z niego wyszło” – czyli o to mu chodziło? Spojrzała na pielęgniarkę, ale ta siedziała ze spuszczonym wzrokiem, zajęta już czymś innym.

- Mam sprawdzać zawartość kuwety, tak?
- Jeśli coś jest niejasne, proszę pytać doktora. Do widzenia.
- Ale kolor? I zapach?
- Życzę zdrowia.
- O kupkę chodzi, tak?
- Do widzenia.

Pielęgniarka spławiła ją głosem pozbawionym emocji, ani myślała udzielić odpowiedzi. Nie mając wyboru, Moe z kotem w transporterze wyszła na zewnątrz, gdzie ściany starego budynku i ponury korytarz sprowadziły ją na ziemię. Przez jej rozkojarzenie sprawy przybrały dziwaczny obrót.

Nikt nie zstąpił z nieba i nie rozwiązał jej problemów za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Zamiast tego lekarz z poradni Kokoro przepisał jej kota na receptę.



To dobrze czy źle? Moe nie potrafiła ocenić.

Faktem było jednak, że wróciła do mieszkania już trzy godziny temu, a on dalej trzymał się z dala od kuwety. Musiał istnieć jakiś powód.

- Co ci się nie podoba? – zapytała, przytulając poduszkę.